



OCULUM MUNDI:
P. R. OFIARSKI
MICHAŁ J. SOBOCIŃSKI

VARIA:
ROBERT WIDŁA

PHANTASIAE ACIDO:
BARTOSZ HALIK

POETICA:
PATRYK SZYMCZAK

Spis treści

REJON MIHA	1
VARIA	3
Robert Widła – Wroniarze	3
PHANTASIAE ACIDO	12
Bartosz Halik - Baśń o Człowieku	12
OCULUM MUNDI	15
Michał J. Sobociński – Po drugiej stronie lustra cz. I	15
P. R. Ofiarski – <i>Transcendencja</i>	22
POETICA.....	29
Patryk Szymczak – Jedność	29
Patryk Szymczak – Lub	30

Chcesz publikować w Abyssos? Teksty nagromadzone w szufladzie nie mieszczą się? Proszę o światło dzienne tudzież światło monitora? A może chcesz nam wysłać opinię dotyczącą opublikowanych opowiadań? Masz pomysł, jak uatrakcyjnić nasz periodyk? Współpraca? Krytyka? Groźby? Zażalenia? Anonse? Kebaby?

Nie krępuj się. Pisz śmiało:

michajah@op.pl

REJON MIHA

Przed nami pierwszy numer kwartalnika Abyssos. Formowane przez pasjonatów pióra i klawiatury czasopismo będzie przede wszystkim miejscem debiutów, szans na zaprezentowanie się oraz miejscem dyskusji. Ku jasności – takie mamy koncepcje. Cóż że z nich wyjdzie? Oby wszystek tego cośmy założyli. Wnieść po oprawie numeru można, że stworzył go amator-sadysta. Amator, zrozumiałe. Sadysta? Gdyż zechciał katować swym dziełem odmęty i męty internetu. Konkluzją z tejże krótkiej żałoby niechaj będzie koherentny banał. Oprawa została stworzona na potrzeby pierwszego numeru, bez umiejętności, bez zdolności, bez powagi, bez konceptu. Po cichutku liczę, że w toku wydawania kolejnych numerów periodyku „Abyssos” znajdzie się jakiś dzielny mąż albo prężna dziewczyna, która zechce wybawić mnie – Miha – od mało cnej roli składu kwartalnika. Nie wybiegając aż tak w przód w imieniu autorów, a także w swoim, zapraszam do lektury!

Mihu zwany Michajaszem.

P.S: Bartek Halik zaręcza, że dział Phantasiae Acido nie tworzy się na bazie substancji zakazanych lub szkodliwych. Pozostaje wierzyć na słowo :)

VARIA

Robert Widła – Wroniarze

Morlane, wiek siedemnasty, dwudziesty szósty według kalendarza Morlańskiego

Roku 2570, za zezwoleniem Rady Najwyższych i panującego władcy kontynentu Morlańskiego, Augustusa II z rodu DeVinessinów utworzona zostanie organizacja pod nazwą Wroniej Gwardii, zrzeszająca kobiety i mężczyzn z rodzin szlacheckich. Gwardziści mają za zadanie rozwiązywanie spraw większej wagi, idącej poza możliwości straży miejskiej, takich jak zdrada stanu, rozboje na klasach wyższych lub morderstwa, jeżeli są powiązane. Gwardia służy zarówno szlachcie i mieszczaństwu, jak i chłopstwu. Wszystkie klasy społeczne będą traktowane jednakowo, według wspólnego prawa wielkiego kontynentu Morlane. Zlecenia będą podawane Gwardzistom bezpośrednio przez strażników miejskich, bądź członków rodzin królewskich i szlachtę, w niektórych przypadkach to właśnie poszkodowani mogą zwracać się o pomoc, jednak wtedy potrzebna jest informacja do osoby zarządzającej sprawami Gwardii w danej dzielnicy, mieście i tym podobnym miejscach na terenie kontynentu. Wszystkie inne informacje dostępne będą na tablicach ogłoszeniowych w miastach, bądź w siedzibie danej jednostki Gwardii. Wspomniane główne siedziby będą znajdować się w największych miastach kontynentu, między in-

nymi w Ravenhill, Calun, Northend i Bar-dock.

Niech Zinthrar i Tyria mają Was w swojej opiece

Anonim

„Cholera, zaraz się spóźnię..”, pomyślał. Ubrał na szybko swój ciemnowy płaszcz i wybiegł z pokoju. Istotnie, nie śpieszył się specjalnie z wyjściem, jednocześnie tak ważnym dla niego i reszty rodziny.

- Już wychodzisz? – zapytał kobiecy, i raczej cichy głosik.

- Już? – spytał z niemałym poirytowaniem zbliżając się do drzwi.

- Ojciec wie, że wychodzisz?

- Wie.

- A matka?

- A skąd ma wiedzieć? Nie mówiłem jej jeszcze, a zresztą, nie wróciła jeszcze z targu.

- Powiem jej jak przyjdzie.

- Dobrze.

Już zamierzał wyjść, już miał pchnąć dłońią o drzwi, ale..

- Długo cię nie będzie? – spytała, łapiąc go za ramię.

Nie wytrzymał.

- Wybacz siostrze, ale jakbyś nie zauważyła, troszeczkę mi się śpieszy, i nie jestem zbyt skory do rozmów – odrzekł. W jego głosie można było bynajmniej wy-czuć sarkazm.

Chciała coś dodać, ale się wstrzymała, kiedy przed jej brązowymi oczyma z hukiem trzasnęła para jasnych drzwi.

Prawdą jest, że Northend to wyjątkowo piękne miasto. Jedno z największych w całej krainie, przez wielu również uznawane za swoistą kolebkę kultury. To właśnie stąd pochodziło wielu znanych na całe Morlane artystów, pisarzy i innych rzemieślników. Architektura tego miasta była dość charakterystyczna, a przynajmniej na tle innych miast tej krainy [de facto, przypominała coś w stylu połączenia rozmachu gotyku i przepychu baroku]. Budowle z jednej strony bogate w nieznaczące nic detale, ozdoby, a z drugiej imponujące swym ogromem i zbyt dużymi oknami. Pal licha, że o tej porze roku albo pada deszcz, albo śnieg z deszczem i zimno, właśnie w tym okresie to miasto naprawdę czarowało innych swoim pięknem.

Tymczasem młodzieniec pośpiesznym krokiem szedł przez szerokie ulice miasta, powoli zbliżając się do swego celu. Na ulicach w centrum było o tej godzinie dosyć tłoczno, od czasu do czasu nawet przejeżdżały bokiem dorożki dla podróżnych, czy sami jeźdźcy na koniach, zwykle reprezentujący strażników miejskich. Patrolowali okolicę w ciągu całego dnia, bo przyjęło się, że skoro to jedno z największych miast i stolica kultury zarazem, to i przestępców największe skupisko. No cóż, przynajmniej łotry mają nienajgorszy gust.

Po dłuższej chwili dotarł nareszcie do celu. Stał tuż naprzeciwko wejścia do pewnego budynku, a właściwie głównej siedziby Wroniej Gwardii w Northend. Przeszły go ciarki, na widok tej dziwnej budowli. Była ona tylko trochę oddzielona od reszty domów w rzędzie, a przy okazji w niczym nie przypominała ani jednego z nich. Z przodu wsparta na dwóch kolumnach, po jedną na każdą stronę. Po środku, już za niskimi schodami stały ogromne drzwi, wykonane głównie z jasnego drewna, tu i ówdzie przyozdobione wstawkami ze złota. Nieco wyżej na drzwiach znajdowało się jeszcze większe, okrągłe okno, przypominające bardziej bezbarwny witraż. Trafne spostrzeżenie, bo tak naprawdę budynek ten wcześniej był świątynią boga Zinthrara, najważniejszego z głównej dziewiątki bóstw w mitologii morlańskiej, będącego symbolem sprawiedliwości. Całość jednak została wystawiona na sprzedaż, kiedy po kilku zaledwie miesiącach kapłani zdali sobie sprawę, że trudno utrzymać tego typu budynek w dobrym stanie, szczególnie zważając na jego położenie prawie w centrum miasta. Po kilku sekundach wahania ruszył w stronę wejścia do budynku.

Wnętrze budynku prezentowało się równie ciekawie. Od samych drzwi do końca dosyć długiego korytarza ciągnął się ciemnobrązowy dywan z jakimiś nieistotnymi wzorami. Na suficie wisały granatowe flagi, czy raczej chorągwie z sym-

bolem Morlane po środku – wroną wzbijającą się w górę ku niebu, rzecz jasna, wrona koloru czarnego. Drugie piętro budynku wspierały kolejne szeregi kolumn, a na całym korytarzu było kilka osób, głównie szlachetnie urodzonych, zważając na ubiór. Większość była zajęta swoimi sprawami. Młodzieniec zaś ruszył naprzód przez korytarz, dalej podziwiając cały jego ogrom.

- Chwila chwila, nie tak szybko, koleżko – zatrzymał go pewien mężczyzna, z wyglądu nie grzeszący ani urodą, a rozumem pewnie też i nie.

- Gości nie przyjmujemy.

Zatrzymany młodzieniec rozglądał się przez chwilę, wodząc wzrokiem po szlachcie wesoło rozmawiającej dookoła nich. Uśmiechnął się szyderczo.

- Właśnie widzę. Ale ja tu nie gość, umówiony jestem. William Breed, sprawdź sam na tej swojej liście, jeśli potrafisz ją przeczytać.

Dryblas prychnął na niego, po czym zwrócił się w stronę stolika i krzesła, przy których najwyraźniej siedział, i podniósł ze stołu listę. Chwilę mu zajęło pozbieranie myśli, ale z niechęcią cofnął się do Breed'a.

- Zostaw swoją broń. Tutaj ci się nie przyda.

Zrobił jak go proszono. Podszedł do stołu, i odpiął swoją szablę od pasa, rzucając ją na blat. Rzeczy, które trzymał wewnątrz płaszczka nie wyciągał, bo raczej

nikomu by nimi krzywdy nie zrobił. Odpiął od pasa swój pistolet, i też postawił na blacie.

No właśnie, pistolet. Trudno byłoby to nazwać pistoletem. Baza niby właściwa, taka jak od pistoletu skałkowego, które w swoim czasie produkowały ludy na północy Rithlheim, ale reszta broni była dosyć niecodzienna. Bo była nią.. cięciwa od kuszy. Tak właśnie, w Morlane nie strzelano z broni palnej, tylko z wszelkich rodzajów kusz. Nie chodziło o leniwość rzemieślników z Rithlheim, a raczej o to, że materiały do tworzenia prochu strzelniczego okazały się kończyć dużo szybciej, niż się spodziewano. Tak więc królowie kilku krain zdecydowali, że tylko oni i ich rodziny mogli używać „prawdziwej” broni na proch strzelniczy, zaś reszta ludzi – kusz. Nie były co prawda tak bardzo pewne w kwestii strzału, ale dziwnym zrządzeniem losu, z czasem mieszkańcy nabrali z „pistoletami na bełty” takiej wprawy, że były one ekwiwalentem pistoletów, karabinów i tym podobnych. Prosta, a przydatna rzecz, naprawdę.

- Racz przeprosić Panie, no, ten tego, William. Możesz przejść. Schodami w górę i prosto korytarzem – powiedział mężczyzna, trochę się jękając.

Istotnie, za tą masą cielska w oddali na końcu korytarza wejściowego były dosyć spore schody. Już zamierzał się do nich zbliżyć, ale łapsko Dużego przybiło mu w pierś.

- Ale spróbuj tylko narobić kłopotów, a obedrę Cię ze skóry – dodał z lekką pewnością siebie.

- Zapamiętam.

Tak właśnie się nazywał młodzieniec. William Cedric Breed, szlachcic, syn Anne Breed oraz George'a Spifta. Jest też bratem Erin Breed, wcześniej wspomnianej. Raczej urodziwy młodzian. Ma brązowe, dosyć rozczochrane włosy, a jednocześnie część z nich ma spiętych w koński ogon, z tyłu głowy. Nosił się zwykle w płaszczach, często ciemnego koloru. Gdy był nieco młodszy, ojciec wynajął mu prywatnego korepetytora, od którego nauczył się między innymi strzelania z broni palnej czy fechtunku mieczem.

Od ojca zresztą odziedziczył nawyk ściągania na siebie kłopotów wszędzie gdzie się pojawia, ale jednocześnie też i jego umiejętności, głównie bitewne. Od matki odziedziczył zaś chyba jedynie kolor oczu, jednak był z Anne dosyć zżyty i często doradzał się matki w wielu sprawach, tu już niekoniecznie bitewnych.

Z drugiego piętra dało się słyszeć jakieś rozmowy, głównie pomiędzy kilkoma mężczyznami:

- Edward, dajże żyć! Przecież nie będziemy czekać tyle czasu na cholerne dwie osoby – lamentował jeden z nich.

- Gdyby im zależało, to by się nie spóźniali tylko przyszli przed czasem. Szlachta, psia mać – i kolejny.

- Panowie, spokojnie! – zawołał inny z nich, tym razem prawdopodobnie wspomniany Edward.

- Przecież się nam nie śpieszy, prawda?

Odpowiedziały mu szmery i szepty kilku zebranych.

- Prawda?! A zresztą, ważne, że w ogóle ktoś przyjdzie, tak, zdecydowanie TO się liczy.

W tym czasie William zdążył już się wdrapać na schody. Już na górze, na wprost od niego stał stół długi na cały pokój, a wokół niego tłum ludzi, wyglądających na nieco już się niecierpliwących.

Reszta pomieszczenia nie różniła się znacznie od poprzedniego korytarza. Kilka chorągwi wiszących na suficie, obok żelaznego świecznika, na ziemi rozłożony dużo większy od poprzedniego dywan, znacznie bardziej ozdobny niż poprzedni. Przy ścianach stało kilka starych, skrzypiących regałów, ze stosem książek na każdym z nich. Najpewniej w tym pomieszczeniu wcześniej odprawiano uroczystości ku chwale Zinthrara.

Gdy tylko stanął w miejscu, wszyscy zgromadzeni spojrzeli na niego. Ich wzrok przeszywał go, jakby ktoś kłuł go rapierem w pierś aż do wykrwawienia. Nawet trochę się zawstydził.

Jeden z nich odważył się wyjść z tłumu, i podejść bliżej do młodzieńca. Nie wyglądał na jego wiek, ale nie wyglądał też staro. Był starszy może o kilka lat, nie więcej. Miał brązowe, dosyć długie, rozpuszczone włosy. Nosił granatowy, długi

płaszcz z jasnymi, prawie białymi elementami i kołnierzem, pod płaszczem zaś dosyć dziwną, ciemną kurtkę z kilkoma orderami i złotymi wstawkami. Jego ubiór przypominał raczej general-ski, niżli szlachecki.

- Jak się nazywasz, mój drogi chłopcze?
- zapytał.

- Breed.. William Breed, sir – wyjąkał Will.

Mina mężczyzny znacznie się polepszyła.

- Wspaniale. Syn George'a i Anny, czyż tak? – z wyraźnym entuzjazmem wypytywał młodzieńca, jakoby mu robił przesłuchanie – Jak się miewa ojciec?

- Dosyć dobrze, nie jest już jednak w armii. Odszedł.

- A szkoda. Byliśmy razem w tym samym pułku, uwierzyłbyś?

William próbował stłumić śmiech, co w tej sytuacji było nader trudne to zrobienia. Kiwał tylko głową, potakując.

- Anne wciąż tak urodziwa jak kiedyś?

- Oh, bynajmniej tak. Ojciec wciąż jej mówi, że pięknieje z wiekiem. Trudno mu szczerze powiedziawszy tego odmówić.

Atmosfera w pokoju jakby się nieco rozluźniła. Goście co jakiś czas zaśmiali się czy szeptali, bacznie słuchając rozmowy.

- Cholera, gdzie moje maniery – na szybko uściśniętą dłoń Breed'a, z zadziwiającą siłą, prawdę mówiąc – Edward Rodney, do usług.

- Miło poznać – wykrztusił odpowiedź.

Rodney po dosyć długiej rozmowie wrócił na swoje miejsce na końcu stołu, tuż przed wielkim oknem budynku i zawołał:

- No, to został nam już tylko jeden!

William zajął jedno z wolnych miejsc przy stole i przysiadł się obok mężczyzny sączącego swoje piwo ze szklanego kufła.

- Kim jest ten ostatni jegomość? – zapytał pijącego faceta wystarczająco cicho, by inni nie usłyszeli, zajęci swoimi sprawami.

- Fray – odpowiedział i wziął kolejnego łyka swojego trunku.

- Kim jest ten.. Fray, o którym mówisz?

- To ty nie wiesz? – zdziwił się tak, że aż odłożył swój kufel w trakcie picia – Samuel Fray, toć jest najgorszy z nas tu zgromadzonych, charakternik jakich mało.

- Oj, będzie ciekawie.

Dla zabicia czasu William pogawędził trochę z tym mężczyzną. Zwał się on Patrick Todd. Nie pochodził stąd, dorastał we wsi Ridgewood na obrzeżach miasta. Był drwalem, a pracę tą porzucił po tym, jak któryś raz na Ridgewood napadli banicy i puścili całą wioskę z dymem, kradnąc przy okazji to, co wyglądało na cenniejsze, to jest, co bardziej się świeciło.. I przy okazji został wtedy śmiertelnie zraniony jego brat Edmund, który zmarł po dniu, od krwotoku wewnętrznego, choć walczył długo. Przystąpił do Gwardii głównie po to, by chronić innych od podobnych nieszczęść. Z wyglądu raczej

krzepki facet. Łysy, umięśniony, chodził w odzieniu typowo chłopskim, by za bardzo się nie wyróżniać. Nawet zdążyli się polubić.

- Jeszcze raz mi będziesz chciał odebrać moją broń, a przysięgam, że sam osobiście wsadzę ci swój rapier prosto w ten głupi zad! – dobiegł ich krzyk z okolic schodów.

Chyba nachodził długo oczekiwany ostatni gość tego popołudnia. A wyglądał on nader dziwnie. Czy raczej, tylko jego włosy tak wyglądały. Bo były białe. Śnieżnobiałe. Nie siwe, bo stary nie był, po prostu białe.

- To jest ten Fray? – palnął Breed, choć nie wziął pod uwagę, jak głośno to powiedział.

- Dla ciebie Sir Samuel Fray, mopanku – odpowiedział.

- Zaczna peruka, panie Fray – powiedział odruchowo, bez namysłu, czego potem zresztą żałował.

Białowłosy odstawił kufel z piwem, który wziął od jednego z przyszlých gwardzistów, i spojrzał na Breed'a.

- Coś ty powiedział?

- To co słyszałeś.

- Zaraz mu chyba obiję mordę.. – Samuel już się do niego zbliżał, podniósł zaciśniętą pięść do góry, ale Todd zdążył złapać go za ramię – puść mnie.. cholera jasna!

- Później to rozstrzygniemy, panowie. Teraz proszę, zajmijcie wszyscy miejsca,

mamy trochę do przedyskutowania – powiedział Edward już normalnym, surowym tonem.

Z niechęcią obaj zasiedli na swoich miejscach, i zwrócili wzrok w stronę Rodney'a.

Edward wziął głęboki wdech i zaczął mówić.

- Panowie. Zgromadziliście się tutaj, by dołączyć do Wroniej Gwardii w Northend. Jest to zaiste szlachetny cel, to miasto już zbyt ucierpiało od bandytów i im podobnych osobników. Będziecie tutaj służyć swojemu królowi, swoim przyjacielom, rodzinie i wszystkim mieszkańcom naszego królestwa. Tak tak, królestwa. Nasze działania obejmują całą krainę, a i Rithlheim i inne kontynenty mają w to swój wkład. Ale by godnie służyć naszej ojczyźnie, będziecie musieli wykazać się wszystkimi możliwymi cechami, których nie powstydziliby się nawet rycerz. Odwaga i wierność. To będą wasze zasady w tej organizacji, do których musicie się stosować. Musicie się nauczyć pokory i pracować w grupie - w tej chwili Edward wznosił głowę, i spojrzał naprzód, dziwnym zrzędzeniem losu w to miejsce, gdzie siedzieli Breed i Samuel – bo w Gwardii nie ma samotników i wszyscy pracujemy razem. Będziecie przyjmować zlecenia ode mnie i tylko ode mnie. Broni będziecie używać tylko i wyłącznie wtedy, jeżeli wasze życie będzie zagrożone, a w tym mieście nie jest to rzadki przypadek. Zabijcie w ostateczności. Nie będę na siłę wysyłał na zlecenia osoby, która zabija każdego, kto im się nawinie.

Takich ludzi kiedyś paliliśmy na stosie w centrum. Pamięta ktoś ten czas? Wracając do naszych zasad. Waszym i moim obowiązkiem jest reprezentowanie Gwardii. Obowiązkiem jest noszenie naszego herbu na swoich ubraniach. Swoje uzbrojenie odbierzcie wszyscy z pomieszczenia w dolnym korytarzu, tam, gdzie zostawił je nasz strażnik, którego nie wątpię, że zdążyliście poznać. Szczególnie pan, panie Fray.

Samuel wyszczerzył zęby, wpatrując się w Rodney'a.

- No dobrze – kontynuował - Skoro już znacie wstępne zasady i obowiązki, przejdźmy do pracy właściwej.

Będziecie pracować na co dzień w parach, które wyznaczę ja. Nie zmienicie ich. Musicie się dostosować. Od czasu do czasu grupy będą się łączyć, w przypadkach gdy zlecenia będą bardziej skomplikowane. Jest nas dziewiętnastu. No dobrze, nie przedłużajmy już.

Edward złapał swoją listę z nazwiskami ze stołu, i wymieniał po kolei pary:

- Sir Victor Blaine i Patrick Todd!

Breed dopiero zdał sobie sprawę z tego, że Todd wcale nie był szlachcicem. Ale lepiej nie zapeszać.

- Sir Timothy Marsh i Sir Joseph Warg.

Atmosfera trochę się popsuła.

- Sir Samuel Fray i Sir.. – Rodney musiał wziąć swoje okulary, by doczytać się na prędko napisanego imienia – Sir Jeffrey Mate.

Jeffreyowi wyraźnie zrzęda mina, Fray zaś uśmiechnął się do niego szyderczo.

- Eh, pominę już te wasze tytuły, i tak wszyscy są szlachcicami.. Daniel Witt i Elijah Breene.

- John Wickey i Martin Harry Dright.

Edward krzywo popatrzył się na Martina:

- Musiałeś się upomnieć o to drugie imię?

- William Breed i Arthur Gillson.

Gillson siedział po środku blisko Edwarda. Dosyć pokaźny zarost przyozdabiał jego twarz, jednak szpeciła ją też dosyć długa rana, przechodząca przez jego usta. Jak się później okazało, Arthur to były żołnierz w armii morlańskiej, prawdopodobnie więc był nieco starszy od Breed'a, podobnie jak Ed. Ubrany był podobnie jak Rodney, tyle że lepiej od niego się prezentował w tym stroju, i płaszcz był czarny.

- No – Ed po chwili nieuwagi nieco oprzytomniał – mam nadzieję, że nie będzie między wami burd. W razie czego w każdym momencie mogę wystawić was pod majestat naszego króla, nawet i teraz. Ale nie chcę. Odbierzcie swoje rzeczy od Liama, to znaczy tego osiłka przy wejściu i zabierajcie się stąd. Żwawo.

Tłum po chwili rozszedł się na wszystkie strony. Niektórzy dyskutowali z innymi gwardzistami, swoimi partnerami po fachu. Ale w tym tłumie nie można było przegapić samego Fray'a, który przez resztę wieczoru bacznie obserwował każdy, nawet najmniejszy ruch Williama. A przynajmniej dopóki się nie rozeszli

przed budynkiem. W drodze powrotnej młodzieńcowi towarzyszył jego nowy przyjaciel, Arthur.

- Nie podoba mi się ten cały Samuel – rzekł William, wreszcie przerywając ciszę.

- On nie ma się tobie podobać. Masz z nim pracować, nic poza tym. Przynajmniej udawaj, że cię on nie obchodzi – odparł sucho Gillson., po czym dodał – a tak na marginesie, to nie była peruka.

William chicho zarechotał, przypominając sobie ten moment.

- To niby co? Tupecik?

- Ani jedno, ani drugie. Ten kolor włosów jest u nich w rodzinie dziedziczny. Ponoć jego prababka miała konszachty z jakąś wiedźmą, jeśli sama takową nie była, i na wskutek jej czynów została przeklęta przez przyjaciółki podczas sabatu. Ale to tylko plotki – wyjaśnił.

- Trudno mi uwierzyć w takie brednie.

- Nazywaj je jak chcesz, na tą chwilę to jedyne co bardziej logiczne wyjaśnienie.

- Skąd ty to wszystko w ogóle wiesz?

Arthur podrapał się po swoim zaroście i przez chwilę chyba się nad czymś zastanawiał.

- Powiedzmy, że mieszkam w tych rejonach na tyle długo, by wiedzieć takie rzeczy.

Wiedział, że nie mówił mu wszystkiego, ale lepiej było nie dociekać jeszcze w szczegóły. Będą mieli dużo czasu na rozmowy. Oboje się rozdzielili

gdzieś w połowie ulicy Recrown w centrum miasta. Był to też adres Williama.

Rodzina Breedów nie była bynajmniej biedna. Duże, żelazne wrota po środku wysokiego, marmurowego muru odgradywały ogrody pałacu od parszywych ulic tego miasta. Od czasu do czasu ktoś się próbował wkraść na posesję, ale zwykle spadali z bram lub muru, i w najlepszym wypadku coś sobie pogruchotali. Stróż, widząc stojącego przy bramie młodziana podszedł bliżej, wysunął z kieszeni kilka kluczy, i po kolei otwierał zamki w bramie. Trochę to zajęło, ale ostatecznie udało się wejść.

Samego pałacu nie powstydziliby się pewnie nie jeden członek rodziny królewskiej. Ogromna konstrukcja, jeden z charakterystycznych punktów w całym mieście, co każdy przyjezdny i mieszkaniec wiedział od dawna. Miejsce to rzekomo było kiedyś poprzednim dworem królewskim, ale dzięki dzielnej służbie rodziny Breedów (a przynajmniej ich przodków, bo obecny król nie darzy ich tak wielkim szacunkiem jak dawniej.) ówczesny władca spisał całą tą budowlę na nazwisko tej szlacheckiej rodziny. Służba dba o wygląd z zewnątrz, jak i z wewnątrz całego pałacu, tak więc nie widać tak naprawdę, ile to miejsce przeżyło nieszczęść w trakcie wojen.

Z dziedzińca pod drzwiami domu prowadziły długie, masywne schody na wyżej postawioną platformę, na której stał pałac.

Swoją drogą, z tej właśnie platformy, znad schodów często poprzedni król dyskutował z poddanymi, wygłaszał nowiny, orędzia i tym podobne. Teraz to tylko służyło za podstawę i przy okazji ładny balkonik.

Will zamierzał właśnie wejść po schodach, już tych wewnątrz domu, na piętro i dostać się do swojego pokoju, próbując przy okazji nikogo nie pobudzić o tej godzinie. Tym razem nikt nie zatrzymał go w połowie drogi, więc zwyczajnie wszedł na górę, otworzył drzwi do swojego pomieszczenia, i..

- Wróciłeś – powiedziała kobieta siedząca przy jego biurku.

- Tak. Wybacz matko, że osobiście nie powiadomiłem, że wyjdę, ale.. – prze-rwała mu.

- To nic. Erin wszystko mi już wyjaśniła – kobieta wstała od biurka, i odwróciła się w jego

stronę, jednocześnie podchodząc nieco bliżej do niego.

Anne Breed. Kobięcina nie miała raczej więcej, niż 40 lat. Długie, kruczoczarne włosy opadały jej na ramiona. Zmarszczek widać żadnych nie było, bo też zwykle zakrywała je cienką warstwą makijażu. O jej wygląd dbały głównie służki, choć sama też czasem dawała radę. W tej chwili miała na sobie wyjątkowo długą, ciemnozieloną suknię dworską, na

której tu i ówdzie były wszyte wzory ze złota. Prawdziwego złota. Widocznie jeszcze nie skończyła sprzątać w domu, skoro jeszcze się nie przebrała. Lub ojciec jest poza domem. Oba wyjścia prawdopodobne.

- Jak poszło spotkanie? – zapytała.

- Nie wiem, co masz na myśli – powiedział nieśmiało, bo nie był jeszcze pewien, czy siostra powiedziała matce wszystko.

- Nie myśl, że nie wiem, gdzie i po co byłeś. Miałam na myśli jak minęło twoje pierwsze zlecenie w Gwardii.

Odetchnął z ulgą.

- Żadnego zlecenia jeszcze nie było. Dopiero wyznaczono grupy. Ale nasz mistrz gwardzista chyba was zna.

- Nie chyba, tylko na pewno – powiedziała, po czym złapała za wachlarz, który zostawiła na biurku, i wachlowała się nim, rozmawiając z synem – Edward był w wojsku z twoim ojcem, a nasze rody dobrze się znają, jeszcze sprzed czasów, kiedy twojego ojca ciągnęło do wojaczki.

- A to ciekawe – skłamał – Matko, nie chcę potępiać, ale chciałbym już odpocząć.

Anne skinęła tylko głową, i wyszła z pokoju, zamykając drzwi. Zarzucił swój płaszcz na krzesło przy biurku, i poprosił jedną ze służek do przygotowania kąpie-li. Służka zachichotała, ale od razu pobiegła do łaźni i poszła przygotować wodę. Do końca nie rozumiał o co chodziło,

ale niespecjalnie go też to interesowało.
Cóż, mężczyzna młody, urody mu raczej
nie brak, to i adoratorkę znalazł.

No cóż.

PHANTASIAE ACIDO

Bartosz Halik - Baśń o Człowieku

I. Ścieżka-pod-Górę.

Niebo całe było zatłoczone przez różnego rodzaju ptactwo, ale Giovanni potrafił rozpoznać wśród nich tylko jaskółki. Takie jakie mieszkały w jego wiosce, takie które widywał codziennie zanim wyruszył.

Ale powinniśmy zacząć od tego czemu wyruszył. Dlaczego? Wielu młodych ludzi wyruszało w takie podróże w celu zdobycia sławy, bogactwa, zabicia smoka czy uratowania jakiejś totalnie rozpieszczonej księżniczki. Giovanni wyruszył w innym celu. Od zawsze spoglądał w stronę tego-co-jest-za-górami, liczył gwiazdy na niebie. Nie rozumiał świata, tym bardziej też tych co myśleli, że rozumieją. Bo cóż oni mogą wiedzieć skoro tylko byli w dwóch może trzech sąsiednich wioskach, parę razy na wyspie przy Przesileniowych

Odpływach, a poza tym to tyle. I zawsze mówili to samo. Świat jest zły, życie złe, my źli, wszystko złe! Giovanni wiedział, że to nieprawda. Nie wierzył im, toteż inaczej niż jego rówieśnicy patrzył na egzystencje swoją. Wiedział, że coś jest w tym świecie takiego co udowodni mu, że jest tak jak to on twierdzi. Wierzył w to mocno i wiedział, że tak się stanie. Niestety ludzie śmiali się z Giovanniego i w twarz szydzili z jego nastawienia do życia. Ale Giovanni nie przejmował się tym, miał gdzieś ich zdanie o sobie, i o tym co sądzą o tym, co on sądzi o tym i tamtym.

Jednak nie tylko złośliwe naigrywanie ludzi z okolicy były przyczyną wędrówki Giovanniego. Wyruszył bo chciał, wyruszył bo wiedział, że chce, wyruszył bo nie wiedział o tym nic. Wyruszył bo nie rozumiał. Ale jednego był pewien, gdyż niewiele rzeczy pewnych na tym łożu padole dla ludzi nie-żywych jest w istocie. Był pewien tego, że gdy dotrze do swego celu, wszystko zrozumie.

A czym był jego cel jak nie zwykłym zrozumieniem? Giovanniego nawiedził sen. To ponoć sam dobry Duch Natchnienia zwany Émbnevsí zesłał owy sen nań. A śnił on o Drzewie. Drzewo to jakby zwyczajne, ale tylko dla człowieka totalnie nie-żywego. Po jednej stronie drzewa był dzień, a po drugiej noc. Nad drzewem chmury pierzaste i gwiazdy świetliste. Korzenie drzewa były poskręcane i głęboko sięgały, jakby do serca Matki Ziemi. Zdawać by się mogło, że korzenie drzewa chronią serce swej mat-

ki przed śmiertelnym ciosem jej dzieci. Stąd wniosek prosty, że drzewo jest najdoskonalszym z istot. Jeżeli istotą je w ogóle nazwać można. Po prostu kocha swoją matkę i nie przejmuje się światem zewnętrznym. Zaś gałęzie drzewa były poskręcane jak muszle ślimaków morskich, owoce drzewa karmiły wszystkie stworzenie Boże, a największe z nich miały kształty symboli ludzkości. Każdy owoc był inny jak każda śnieżynka. Jedyny w swoim rodzaju.

Giovanni rozpoczął swoją wędrówkę tak jak stał. Rano wstał, ubrał się, zjadł śniadanie, wziął ze sobą niezbędne rzeczy i wyszedł z wioski. Takie wędrówki zawsze są tym lepsze im bardziej niezamierzone. Ludzie pytali się gdzie to on zmierza, a on im odpowiadał:
- Przed siebie, w góry!
Jego decyzja, była szokująca dla prostych mieszkańców wioski.
- W góry? W górach jest niebezpiecznie szalony człeku!

Giovanni nie przejmował się tym. Wielu ludzi jest przekonana, że góry to największe okropieństwo jakie jest na świecie. Że są niebezpieczne, brudne, zimne i wymieniać tak by mogli bez końca. Jednak Giovanni był pewien, że przełamanie tradycyjnych wręcz uprzedzeń to początek wędrówki. Ale nie tej co odbędzie jego ciało. Tej co odbędzie jego dusza i umysł. W końcu wszyscy mówią o górach różne bardzo niemiłe rzeczy, a sami tam nigdy nie byli. Powołują się tylko na słowa swoich Guślarzy i Starszych. Giovanni posiada ogromne zasoby odwagi. Bo w

końcu co jest bliżej Nieba, góry czy może te wioski na dole?

Ludzie zebrali się u wyjścia z wioski i obserwowali jak Giovanni się oddala. Jedni wytykali go palcami, inni śmiali, a jeszcze inni złośliwie życzyli powodzenia. Ale nikt. Nikt nie zadał sobie tyle trudu by pomyśleć i zastanowić się jaki jest cel jego wędrówki? Niestety to jest skutek uboczny jestestwa w takim miejscu. Skutek, który dotyka każdego mieszkańca w wiosce zwanej Glob.

Nasz wędrowiec sunął pewnym krokiem naprzód. Spokojnie pod górę, podziwiał widoki. Wyschnięte zbocza gór, w dole morze i święta wyspa oraz jego wioska. Odwrócił się by popatrzeć na miejsce swoich narodzin. A to wszystko z góry wydawało mu się małe, błahe. Nieistotne. Równie dobrze wioska zwana Globem mogłaby nie istnieć. Jeżeli początek wędrówki był bardzo łatwy, wręcz spacerek to droga coraz bardziej zaczynała być trudna. Coraz bardziej męcząca. Jednak Giovanni postanowił, że nie podda się i pójdzie dalej. Zaczął się zastanawiać jak długo będzie wędrować. A tymczasem szedł dalej naprzód, a ścieżka stawała się coraz bardziej stroma. Zsuwające się kamienie utrudniały chodzenie, a pochyłe zbocza na dużej wysokości przyprawiały o zawroty głowy. Z każdym krokiem Giovanni zbliżał się do szczytu. Dotarł do miejsca w którym ścieżka była jeszcze trudniejsza i wiodła przez labirynt ostrych skał, w wielu miejscach trzeba się było wspinać. I spojrzał raz jeszcze

Giovanni na swoją wioskę, i przypomniał sobie jak to pomimo szydzenia ludzi, ich bycia niemylimi, ich głupoty i innych wad dobrze mu w wiosce, gdzie ma wszystko pod nosem, nie ma Drogi-pod-górę, ani ostrych skał kaleczących dłonie. - Chyba za dobrze mi tam w Globie moim było - stwierdził obrzucając wzrokiem horyzont. - Wszystko niby jest, a jakby wszystkiego brakuje. Ale ruszył dalej, z nadzieją, z chęcią, z ciekawością na świat.

Po ponad godzinie wędrowania wśród tego labiryntu skał dotarł do miejsca gdzie głazy były najwyższe i tworzyły niemal pionową półkę. Zawahał się, gdyż myślał, że nie podoła tej wędrówce. Spojrzał jeszcze raz, jeden ostatni raz w stronę Globu i przypomniał sobie, że musi dotrzeć do końca Ścieżki-pod-Górę, do swego Drzewa Życia. Postanowił, że musi w siebie uwierzyć i to bardzo mocno. Bo tylko z mocną wiarą pokona tą przeszkodę.

- Chociaż trudna część trasy tej, to i ja nie zatrzymam się jej. Bo jak mawia przysłowie stare wiara czyni cuda, a więc i mi cud potrzebny będzie. Niechaj wiara moja skrzydła mi da bym i ja znalazł się po stronie drugiej przeszkody tej! Kończąc te słowa rozpędził się i wskoczył na pierwszy wystający kamień, potem na drugi. Zwinnie jak pantera. I nie było wcale to takie trudne z tymi Skrzydłami Wiary. Pokonał przeszkodę pierwszą, z wielu jakie na niego czekają przez całą trasę jego Mistycznej Wędrówki.

Szczęśliwy ruszył dalej i uznał, że jest

potwornie zmęczony, a mimo to bardzo zadowolony.

OCULUM MUNDI

Michał J. Sobociński – Po drugiej stronie lustra cz. I

5 idy miesiąca Cesarskiego, 585 lat po przybyciu Attara

Na biurku doktora Osteina panował bałagan. Uczony spoglądał nań obojętnym wzrokiem. Porównywał nieporządek do stanu swego roztargnienia. Naukę nad poezją norithorskich mistrzów, która dawniej wzbudzała w naukowcu niemal ekstazę, zastąpiło sporządzanie dokumentacji kartotek studenckich. Innym powodem, należałoby rzecz głównym, była stała pensja, o którą ciężko zabiegać przy mało frekwencyjnych wykładach z poetyki. Praca w administracji wyglądała na całkiem łatwą. Niekoniecznie ekscytującą. Więc gdy doktorowi Hauserowi pękły wnętrzności na ulicy Smrodnej, pojawiła się okazja, aby dać odpocząć młodzieńczym pasjom i zająć się czymś przewidywalnym.

Kancelaria, którą prowadził doktor Hauser, wedle uznania Alberta Osteina, mogłaby służyć, jako pole do popisu dla przyszłych dyplomatyków. Tabele zapisane nierównym pismem, niemożność odróżnienia literki „a” od „o”, kleksy i skrótów, tłuste plamy na marnym papierze nie rokowały pracy przyjemnej zarówno dla oczu jak i dla cierpliwości. Doktor Ostein nie mógł znać tych niedogodności, gdyż o rozmiarach zastępów grubych tomów raportów i dokumentów akademickich mógł się przekonać dopiero po otrzymaniu klucza do „*Archiwum Cesarzowskiego Uniwersytetu w Kelrad, dział Kartotek, nr. I*”. Drzwi o grubości pensji doktorskiej być może nie utwierdzały w przekonaniu, iż dostęp do archiwum ma tylko archiwista, aczkolwiek wielkość mosiężnego zamka, owszem.

Tymczasem doktora Osteina z zadumy, nad nietrafnym wyborem posady, oswobodziło trzykrotne pukanie w drzwi od jego przytulnego gabinetu. Początkowo przeszły belfer zdziwił się perspektywą gościa w biurze. Przyszła mu jednak na myśl sprawa niejakiego Karla Weissa.

- Proszę wejść – nim rzekł, odchrząknął. Od kurzu nieprzyjemne zaschło mu w gardle.

O profesorze Brückerze, choć nie zwykł opuszczać swego ciemnego gabinetu, każdy adiunkt mógł coś opowiedzieć. Rzucić słowo o mlecznych włosach lub orzec jak przygarbiona sylwetka starca podkreślała wysiłek, jaki profesor wkładał w poruszanie się po korytarzach

uniwersytetu. Inni opowiadali o nieprzyzwoitych praktykach profesora. Ale tym doktor Ostein nie dawał wiary.

Droga wiodąca z *Instytutu Dialektyki* do archiwów wymagała odbycia niemałego spaceru, stąd na twarzy świeżego archiwisty wymalowało się zaskoczenie.

Za plecami dialektyka stał młodzian z poważną a zarazem skupioną miną. Przynajmniej tak pomyślał doktor Ostein, gdy kompan profesora, ledwo wchodząc, czujnie lustrował pomieszczenie. Prawdopodobnie był równy latami najstarszych roczników studentów choć doktor miał wrażenie, że mógł być jeszcze starszy. Poważny wyraz twarzy dodawał mu nieco lat, a Osteinowi wrażenie, iż młodzieniec nie zalicza się do grona tuzinkowych ludzi. Kiedy jednak zwrócił swą uwagę na doktora-archiwistę, uśmiechnął się pogodnie i zatrzymał się przy drzwiach. Stał wyprostowany prawie w futrynie i schował dłonie za plecami. Wzrok uciekł mu ku butom, błędząc po podłodze skrzypiącej od ciężaru kroków profesora. To dodało mu pokory, wymaganej od żaków.

Ostein wstał.

- Panie profesorze, mógł pan wysłać kogoś innego... - archiwista porwał się na uprzejmości. - *Persona* waszej nie winna się trudzić marszem, jak mniemam forsonym.

Brücker machnął ręką.

- I tak miałem sprawdzić jak sobie radzicie, doktorze Ostein – z gardła profesora wydobył się zachrypły głos.

- Posiadałem ciekawsze posady. Być może *fortyfikacje dokumentów* przytłaczają mnie ze względu na swoją ilość – naukowiec zamaszystym gestem ręki wskazał na wały papierów. – Niechętnie przyznaję, że doktor Hauser nie odznaczył się pedantycznością, choć ufam, że gdyby planował rezygnację ze stanowiska pozostawiłby miejsce pracy w stanie zdatnym do użycia przez potomnych – tłumaczył Ostein.

Wątek tyżący się sprząwania przeszedł obecnemu archiwistce przez gardło z niemalym trudem. Doktor Ostein nie lubił kłamać, lecz nietaktem wydało mu się złorzeczenie o nieboszczyku.

- Tak czy inaczej muszę ponieść konsekwencje przyjęcia tej pracy i sumiennie wykonywać swoje obowiązki – dodał z bladym uśmiechem.

Stary profesor mlasnął i westchnął.

- Wykonywać swoje obowiązki, tak... - powtórzył, mlasnął po raz wtóry i wejrzał na młodzieńca stojącego obok. – Oto pan Weiss. Wraca na uczelnię po kilkuletniej... Przerwie.

- Po co? – Ton doktora Osteina spoważniał. Powrócił też za biurko i usiadł wyraźnie spięty. – Z dokumentacji wynika, że choć rozpoczął pan trivium, to profesorowie podawali w wątpliwość pańskie przywiązanie do *ora et labora*. Panie Weiss – wycedził przez zęby. – Nie zależy panu na uzyskaniu stopnia doktora?

- Mi? Nie – odparł głębokim głosem Weiss. – Absolutnie nie.

- Co pan zatem tu robi?

- Spełniam życzenie ojca – odpowiedział bez zastanowienia.

Odpowiedź przeszła archiwistce koło uszu. Nie była zresztą istotna. Ostein wziął w dłonie dokument i zagłębił się w jego treść.

- Dziękuję profesorze za fatywę. Nie chcę tracić waszego cennego czasu – mruknął doktor nie odrywając wzroku od karty papieru.

Bacząc na wiek profesora Brückera, czas mógł nosić przymiotnik *bezczesny*. Wyszedł nieśpiesznie.

- Z dokumentów wynika, że zostaliście zawieszeni w prawach żaka, gdyż zostaliście oskarżeni o konspirację przeciw osobie Jego Cesarskiej Mości – tłumaczył ze spokojem naukowiec dalej nie odrywając wzroku od kartki. – Szczegóły zostały utajnione, ale pod słowem miejsce odosobnienia kryje się loch lub Wyspa, prawda?

Zrobił przerwę. Być może oczekiwał na odpowiedź. Na próżno.

- Nie mi oceniać wasze poglądy, ale radzę... - zaczął ponownie.

- Dobrze – przerwał Weiss. – Radzono mi zbyt wiele razy. O skutkach może pan dowiedzieć się pan z dokumentów, które ma pan przed sobą.

Oho! Wygadany! – pomyślał doktor Ostein. W czasie wieloletniej praktyki spotkał nieco emancypowanych żaków, lecz nigdy – zgodnie z zalecaniami oby-

czajów – nie wdawał się z nimi w dyskusje.

- Nie bądźcie bezczelni to możecie doczekać się tytułu – odparł z braku lepszej odpowiedzi. – Oto dokumenty. Zgłóście się zaraz do naczelnika Henricha ze Stalervek. To szlachcic o grubej głowie i jeszcze grubszych manierach. Z nim nie pójdzie tak miło jak z szanownym profesorem Brückerem... lub ze mną – dodał niechętnie – Potem zgłóście się do waszej nacji. Z papierów wynika, że należycie do modriskiej choć przyznam, że nazwisko macie północne – doktor poświęcił chwilę cichej zadumie nad nazwiskiem żaka. Otrząsnął się i znów łypnął na Weissa. – Bądźcie... Ostrożni. Do widzenia.

Po wręczeniu papierów, żak przyrzekał się im, lecz nie zagłębiał się w lekturę raportu. Skinął głową i bez słowa opuścił uczonego otoczonego stertą papierów.

Doktorowi Albertowi Osteinowi nie spodobał się Karl Weiss. W ogóle.

Gruba ręka Henricha ze Stalervek, opierając się na biurku, podtrzymywała jego tłustą i sapiącą z bólu gębę. Naczelnik rozpiął czarny mundur, ornamentowany motywem złotego niedźwiedzia. Już na pierwszy rzut oka naczelnik malował się, jako osoba zamożna a zarazem oddająca się profesji żołnierskiej. Wnosząc po insygniach oficerskich, dumnie eksponowanych na piersi naczelnika, zainteresowani mogli być pewni jego oddaniu ro-

dzinie cesarskiej. Gdy uporał się ze srebrnymi guzami rozłożył się w fotelu kładąc luźno ręce na oparciach. Wzdychał ciężko, jak na grubasa z niebanalnym bólem głowy, przystało.

- Gdzieście panie się tak urządzili? – Zapytał siedzący naprzeciwko magister z wymalowanym uśmieżkiem godnym kupieckiej szelmy. – Czyżby wojskowe kasyno oferowało tak mocno trunki? Wszakże nie raz i nawet nie dwa razy słyszałem o nowatorskich rozwiązaniach służących abstynencji pośród żołnierzy.

Głos miał cienki, nieco melodyjny, być może dla niektórych irytujący. Ponadto seplenił. Siedział z założoną nogą na nogę, poprawiając lewicą co rusz granatową togę. W prawej dłoni trzymał kartę papieru zapisaną równym i schludnym pismem.

- Tylko szeregowym, Moutart – westchnął naczelnik ściągając dłoń z twarzy. – No, bo gdzieżby oficerom? Bunt by się podniósł. Sami wiecie... Okowitę i gorzałę bogowie stworzyli dla lepszych, choć są paskudne w smaku, a jakże. Gorski niech piją piwa. Co by choćby smak był lepszy od życia.

Wypowiedz okazała się męcząca. Oficer odsapnął.

- W „Małej Syrence” podają najlepszą gorzałkę, choć muszę powiedzieć, że coś te kurwie córy doń dodają – wojskowy przytaknął głową. – Pociąg mam cały czas do tegoż zamtuza, a będąc w innych namawiam kamratów by raczej wstąpić w progi, że tak powiem, mi znane. Tu

nawet nie chodzi o dziewczęta obsługujące, że tak powiem, żołnierskie ostrze, ale o, jak mawiają, atmosferę lokalu i tam obecnych bywalców. Chociaż dziewczuszki wcale ładne, wcale gładkie. Ot dupodaje wielkomiejskie tyle co umalowane i kształcone w sztuce rżnięcia.

Machnął ręką i wypuścił z siebie powietrze rozsiadając się wygodnie w swym fotelu. Bordowy kolor nawet na chwilę nie opuścił twarzy oficera.

- Podejrzewam, że to panie są tam brane, a nie odwrotnie.

- Pewnie, że podejrzewasz! - Zagrzmiął naczelnik, potem syknął i złapał się za głowę. - Tobie tylko zostaje podejrzewać. Jebak teoretyk się znalazł, kurwaź mać. A mnie chodzi o coś innego.

Wystarczyło zerknięcie, by upewnić się, że Moutart w dalszym ciągu poświęca całą uwagę naczelnikowi. *A spróbuj mnie nie słuchać, gnido* - pomyślał. - *Już ja prędko rozpuszczę plotki o tym jak donosiłeś na brać studencką. Ha!*

- Wam naukowcom to jeno cyferki i zbytki na myśli - powiedział mało zgodnie z prawdą i sumieniem, gdyż wielokrotnie korzystał z usług mężów mądrości. Ale tych przydatnych. Nie retorów, dialektyków, archeologów czy teologów. - W ogóle nie myślicie o pięknie - kontynuował grubas. - Ani o religii! - Widząc twarz zdziwionego magistra uderzył roześmiany pięścią w stół. - Ha! Ależ macie minę! Pewnie taka samą mieliście jak wam jakaś dzierlatka pierwszy raz pokazała, że fjutek nie służy jeno do szcza-

nia! Ha! Chociaż co ja gadam? Wysnułem przecie hipotezę, że bliżej wam do teoretyka a nie praktyka! Haha! - Naczelnik srogo pożałował jowialnego nastroju, gdy kac przypomniał mu o swym istnieniu. - Widzicie, Moutart, mam ładną żonę. Mimo, że dobija do czterech dekad zachowuje gibkość linoskoczka i temperament dzikusa. Wtedy gdy to potrzeba, ma się rozumieć - pogroził żakowi palcem jakby groźba miała zmazać dopowiedzenia. - Kochać to ja jej nie kocham bo prawdziwy mężczyzna kocha swoją pracę, swoich przełożonych i w efekcie swój reżim. Musisz mnie Moutart tedy kochać, bo jakże miałbyś mi wtedy wiernie służyć? - Naczelnik zaśmiał się gromko widząc skwaszoną twarz nadętego jak balon studenta. - Chodzę tedy na te kurwy zbolełe w zasadzie nie dla rozrywki, a dla obyczaju mego stanu, z którym muszę żyć w zgodzie. Czy słyszeliście niegdyś o arystokracji lub innym bogaczu, co by nie pofolgował chuci z jakąś inną panną lub nie panną, że tak powiem? Ano też właśnie. A skoro figluję z pewnym obrzydzeniem - oficer rozłożył ręce - to czy nie czyni to ze mnie swoistego eremity?

- Czy pańskie rozmyślenia mają konkluzje? - Znudzony żak poprawił swą togę.

- Ach! Oczywiście, Moutart! - Na czerwonym obliczu Henricha ze Stalervek pojawił się żółty uśmiech. - Mam na myśli, że dobrze i zdrowo jest czasem wskoczyć między biodra inne niż żony przy akompaniamencie nieopodatkowanego alkoholu! Dla oczyszczenia ducha

poprzez umartwianie ciała, że tak powiem.

Naczelnik wiedział, że słuchanie jego dowcipów i rubaszne wnioski są dla młodego mężczyzny mordęgą. Nie zważał w żadnym z razów na fochy żaka. Testował jego cierpliwość jak najlepszy hutnik rudę żelaza, a to wiadomo kuje się póki gorące. Zmęczenie umysłu studenta miało sprawić by Moutrat przyjął każdą propozycję naczelnika.

- Do rzeczy, człowieku. Nie przyszedłeś ty na pogaduchy - ton Henricha ze Stalervek zmienił się z wesołego na surowy. - Sprawa napięta jest jak baranie jaja podczas golenia go wkoło baraniego futra.

- Nie wiedziałem, że nawet stamtąd pozyskuje się surowiec.

- A tak. Pozyskuje. Robi się z nich delikatne onuce dla mądralińskich żaków - naczelnik nie dał się zwieść sarkazmowi studenta. - Na uniwersytet wraca niejaki Karl Weiss. Mówi ci coś to nazwisko?

- Mówi - potwierdził Moutrat piskliwym głosem. - Obrońca nie-ludzi, psia jego rasa - magister oburzył się teatralnie. - Po wojnie z republiką Norithoru koordynował protesty w sprawie obrony elfów i krasnoludów wzbraniających się od złożenia ofiar dziękczynnych. Organizował nawet zbrojne grupy, które miały rozbić straż porządkową świątyni. Nie udowodniono mu wprawdzie nic z tego, ale rektor postanowił wysłać Weissa na przymusowy urlop dziekański.

- Który zakończył się tydzień temu - skwitował naczelnik. - Weiss wrócił na uniwersytet, ale szczęśliwie cesarz powołał Urząd Do Spraw Wywrotów Studenckich, a mnie obsadził na stanowisku naczelnym. I mam zamiar dobrze wypełniać swoją pracę. Kurewsko dobrze, Moutart.

Henrich ze Stalervek dopatrzył się w mnie magistra oczekiwania. *Wie, że coś mu zlecę - pomyślał. - I dobrze. Gówniarz jest dobrym szpiclem. Pewnie o tym nie wie, ale zachodzi w głowę kiedy dam mu spokój. Ale nie, nie Moutart! Trzeba było nie donosić na cenzora Glauca, baranie jeden!*

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Moutart aż wzdrygnął, gdy z zamyslenia wyrwał go huk walenia w drzwi.

- Chyba mamy gości - uśmiechnął się naczelnik. - Wejść!

Mężczyzna, który pojawił się w drzwiach był typowego wzrostu i wagi. Włosy skołtuowane kontrastowały z sztywnym na miarę kubrakiem. Wyglądał poważnie. *Zbyt kurna poważnie. Studenci wyglądają jak groteskowe barany, a nie jak skupiony urzędnik* - rozmyślał naczelnik.

Wydobył jeden arkusz z górki czystych kartek. Zmoczył ostrożne gęsie pióro w inkaucie i głośno wciągnął powietrze. Żak stanął za plecami Moutarta zerkającego z ciekawością na kolegę.

- Imię - naczelnik powiedział formalnie aniżeli spytał.

- Karl Euzebiusz.

- Nazwisko i herb.
- Weiss. Na herb moi przodkowie nie zasłużyli.
- Przeklęta hołota. Ty też nie dajesz władzy powodów do nobilitacji. Pochodzenie.
- Republika. Ostały się dwie - odparł uprzejmym głosem Weiss.
- Do czasu. Do czasu! - warknął naczelnik. - Modris czy Middenvatten?
- Ta na M.

Zwykle groźne łypnięcie naczelnika działało na żaków jak smagnięciem biczem konia. Weiss zareagował na wzrok wojkowego szelmowskim uśmiechem. Heinrich był pod wrażeniem odwagi studenta, ale nie dał po sobie niczego znać. Choćby złości.

- Modris, choć obyczaje macie na poły barbarzyńskie - powiedział chwytając się za skroń. Ból głowy dał o sobie znać. - Oj, panie Weiss. Coś mi się wydaje, że prędzej zobaczymy się na jakiejś egzekucji niż na rozdaniu zaświadczeń o kwalifikacjach.

Moutart zachichotał jak mała dziewczynka. Karl Weiss ponownie uśmiechnął się złośliwie.

- To wszystko?
- Marzenie twoje. Co wy tam niby studiujecie?
- Rozpocząłem trivium. Pan coś skończył?
- Nie. Urodziłem się tak mądry, że mogę nadzorować baranie stada bez tytułu doktora - burknął naczelnik i zauważył jak z twarzy Moutarta znika dobry hu-

mor. - Tyle. Poszedł won i nie nadstawiając się władzy to może znowu nie wylądujesz na Wyspie. Pamiętaj, lud wystawia władzę na próbę cierpliwości, a gdy się ta skończy, lud musi wystawić dupę. A potem jest rżnięcie. Aż do krwi, że tak powiem - wojskowy poczuł, że stracił panowanie nad sobą. Westchnął głęboko. - Przydzielam cię do nacji Norithor-Modris. Zgłoście się do pokoju 22. Jest obok pokoiku socjalnego numer 23. Żak Tomas Vouter przydzielili wam miejsce do spania. Idźcie w pokój.

Karl Weiss wyszedł nie mówiąc nic na odchodne. Moutart siedzący cały czas tyłem do starszego żaka czuł się nieswojo. Zauważył to naczelnik rozkoszując się obiadem niezadowolenia magistra. Tymczasem szykował się deser.

- Nie ufałbym mu, panie naczelniku.
- A pewnie, że nie. Dlatego będziecie go dla mnie śledzić. Tylko dyskretnie i w najgłębszej tajemnicy. Skrywajcie ją tak głęboko tak jak profesor Brücker skrywa penisa w waszej dupie.

Moutart raptem wstał i jeszcze szybciej pobladł. Upadł na kolano i już miał zanieść się szlochem, gdy naczelnik uniósł prawicę.

- Ani słowa, barani łbie! - Ryknął. - Wiem, że tego nie lubicie i wiem jak bardzo zależy wam na znakomitych oceanach z dialektyki - powiedział ze sztucznym gniewem w głosie. - W tych czasach nawet grzesznicy są przydatni. Pamiętaj jednak, że nie wolno okazywać swego spowiednika - wskazał dla jasności pal-

cem na swoje ucho. - To wszystko, Moutart. Już cię tu nie ma.

P. R. Ofiarski – *Transcendencja*

Zacznę więc raz jeszcze, od początku. Gdybym sam nie był świadkiem tego, co ujrzałem, nie wiem, czy byłbym w stanie uwierzyć komukolwiek, kto przeżyłby to samo. Gdybym był na miejscu siostry, zareagowałbym identycznie: zamknąłbym opowiadającego w domu dla obłąkanych lub, co gorszą, wysłałbym na stos. Ale niestety, każde słowo, które zostało powiedziane, jest prawdą: spotkałem prawdziwych bogów. Widzę, że uśmiech siostry wskazuje na zwątpienie. Ale niestety to szczerą i przerażającą prawdą. Patrzyłem im w oczy, dotykałem ich i słyszałem. Tak, słyszałem głos bogów – tego nie dokonał jeszcze żaden

kapłan. Ale... nie będę mówił od środka, w końcu obiecałem, że będzie wszystko od początku. Pochodzę z Kelrad, z rodziny kupieckiej, której znakomicie szły interesy. Złoto płynęło wręcz strumieniami, dzięki czemu ojciec mógł sobie pozwolić na to, by każde z jego dzieci podjęło studia na uniwersytecie. Od zawsze miałem zdolności artystyczne, więc posłano mnie na Akademię Sztuk Pięknych w Norithorze. Miało się spełnić moje marzenie: stać się artystą, znaleźć bogatego patrona i mieć romans z jego młodszą żoną lub córką. Naiwne i śmieszne, ale sama siostra rozumie, że w wieku osiemnastu wiosen młody człowiek nie myśli o niczym innym niż o przyjemnościach cielesnych i duchowych. Wśród braci studenckiej wielu myślało podobnie do mnie. Uczyliśmy się, piliśmy ze sobą, kochaliśmy się między sobą. Nie byśmy uprawiali sodomię, och nie. Na moim roku było więcej dziewcząt aniżeli mężczyzn. Ale schodzę już z tematu. Studia dla kogoś, kto miał talent, nie były trudne. Toteż musiałem szybko znaleźć coś, by zająć wolny czas. Wizyty w burdelach i tawernach w końcu nudziły, nic więc dziwnego, że człowiek zaczął szukać innych rozrywek.

Tak właśnie trafiłem do Amatorskiego Klubu Akademickiego.

W szeregi klubu zaprosiła mnie koleżanka z roku po jednej z tych upojnych nocy, określając go jako miejsce, gdzie spotykają się najbardziej interesujący ludzie z akademii. Szkoda było nie skorzystać, skoro i tak nie miałem nic lep-

szego do roboty. Powiedziała mi o lokum, gdzie odbywają się spotkania. Jako że był to mój pierwszy raz, poszła ze mną, przedstawiając mnie członkom stowarzyszenia. Nie kłamała, faktycznie członkami tej grupy były osoby o dość interesujących i bogatych osobowościach, których łączył wspólny cel: sprawić, by okres studiów przeminął jak najciekawiej. Kiedy teraz o tym pomyślę, wiem, że brzmiało to podejrzenie, ale wtedy nie widziałem w tym nic dziwnego. Zostałem przedstawiony opiekunowi klubu, który przeprowadził moją inicjację. Na sam początek zapytano mnie, jaką dziedziną nauk się zajmuję. Odpowiedziałem, że żadną, bowiem jestem na akademii sztuk pięknych. Ten kiwnął tylko głową. Sięgnął do jednej ze skrzyneczek i coś wyciągnął.

Była to fajka nabita opium.

W chwili, gdy po raz pierwszy zakosztowałem dymu z główki maku, zrozumiałem sens egzystencji na tym świecie. Wyszedłem poza znany człowiekowi świat, który wydaje się prosty i szary. Nic bardziej mylnego. To widok, który ma nas zakuć w okowy pozornej rzeczywistości, gdzie mamy być zawsze w służbie potężniejszych od siebie. To, co ujrzałem, było niczym otwarcie oczu po mocnym uderzeniu. Zrozumienie, że się żyje. Nie jestem w stanie oddać słowami tego, co ujrzałem w chwili kontaktu z opium. Nie jestem wszak poetą. Ale zostałem obdarzony talentem artystycznym. To, co ujrzałem w trakcie sesji, przelałem na płótno. Kolokwialnie rzecz

ujmując, był to świat, w którym barwy jarzyły się niczym słońce w upalny dzień. Wszystko, czego dotknąłem, zmieniało swoją barwę. Każdy kształt, który widziałem, po chwili zmieniał formę. Nic nie istniało stałego. Wszystko płynęło. Zrozumiałem, że to musi być prawdziwy świat, w którym to każdy człowiek ma władzę nad wszystkim, co go otacza. Sam kształtuje, sam nadaje znaczenie. Nie ma na nadgarstkach żadnych kajdan. Tak powstał mój pierwszy poważny obraz: *Transcendencja*.

Powstał w rekordowym wręcz czasie, bowiem zaledwie w ciągu tygodnia, co wspomagały narkotyczne sesje. Dobrze się składało, bowiem właśnie zbliżał się czas, w którym mieliśmy przedstawić naszym wykładowcom prace egzaminacyjne. W swoim mniemaniu widziałem w *Transcendencji* istne dzieło sztuki. Ba, nawet postrzegałem siebie jako prekursora nowego stylu w sztuce. Uważałem się wtedy wręcz za boga malarstwa!

Ale nie byli o tym przeświadczeni moi mistrzowie.

Nazwali moje dzieło bohomazem i rysowniczką rzygającego marynarza. Odrzucili je, nakazując przy tym opuszczenie akademii. Mnie! Boskiemu malarzowi! Potrafi to sobie siostra wyobrazić?! Ale pomyślałem, że to dobrze. Nie było tam miejsca dla kogoś takiego jak ja. Miałem oszczędzone trochę grosza, toteż wynająłem pokój w kamienicy. Resztę pieniędzy przeznaczyłem na farby, płótna i, rzecz jasna, dawki opium, które było moim balsamem na rany. Do tego po-

dejmowałem się różnych prac, na przykład jako dekorator wnętrz, kiedy bieda naprawdę doskwierała, sprzątałem ulice. Próbowałem sprzedawać swoje obrazy, ale wiedziałem, że i tak żaden człowiek ich nie doceni. W końcu nie widzieli, więc czemu? Niejeden raz myślałem, czy nie spróbować żyć znów jak normalny człowiek, wrócić na studia i dostosować się do wymagań uczelni, ale tych głupich pomysłów szybko wyzbywałem się za sprawą opium. Każdorazowa sesja uchylała coraz bardziej rąbka tajemnicy świata. Ale wciąż nie rozumiałem powodu, dla którego ukrywano go przed nami. Oczywiście mogłem pomyśleć, że był to świat jedynie dla wybranych, ale ukrywanie tego przed człowiekiem nie byłoby sprawiedliwe.

Prawdę ukazał mi pewien człowiek.

Gdy razu pewnego poszedłem na sesję opiumową, poznałem pewnego młodego człowieka. Powiedział mi, że był niegdyś akolitą w świątyni Eo, jednak odszedł z niej, gdy zrozumiał (rzecz jasna za sprawą opium), że to, czego tam go uczyli, było kłamstwem dla zamydlenia oczu. Wszystko po to, by ludzie byli głupimi marionetkami w rękach kapłanów i władców, bez możliwości sprzeciwu. To nie była wiara w bogów, a wiara w potęgę. Do bogów może dotrzeć każdy, o ile będzie miał tyle siły, by zdjąć czarną opaskę z oczu. Rzekł mi wtedy, że w ten sposób można dojrzeć bogów, nie umierając. Można ich dotknąć i usłyszeć. Porozmawiać z nimi! Nie uwierzyłem mu wtedy, gdyż rzekł mi, że nie doszedł

jeszcze do takiego stanu, by móc ujrzeć bogów, ale zna kogoś, kto to uczynił, i przedstawi mi go. Niemniej zdałem sobie sprawę, że to mogło mieć sens. Ten szary świat ma być kulą dla tych, co chcą słuchać. Aby z niej wyjść, trzeba odrzucić posłuszeństwo i dać się ponieść samym bogom! Przepiękne.

Z czasem ujrzałem, że dzieje się ze mną coś dziwnego.

Wymioty, bóle mięśni, zawroty głowy. Pewnego dnia nie mogłem w ogóle wstać z miejsca, więc przeleżałem osłabiony przez kilka dni, nie idąc do pracy. Nie stać mnie było na medykamenty, a nikt nie chciał wymienić mikstury na kaszel za mój obraz. Wtedy zacząłem coraz lepiej rozumieć, że to wina opium. To cholera sprawiło, że stałem się niewolnikiem jego woli. Odkryłem to w chwili, gdy zapaliłem i nagle poczułem, że cały ból odszedł. Ale wrócił rano – silniejszy. Zdecydowałem się odrzucić fajkę i wziąć się za siebie. Wtedy jednak znów przyszedł czas, że musiałem komuś służyć. Gdy wszystko wokół okazało się takie barwne i niejednoznaczne, życie w zwykłym, szarym świecie wydawało się tragedią. Myślałem już nad popełnieniem samobójstwa, by uciec, tym razem na stałe, do świata bogów.

Na drodze stanął mi znów ten były akolita. Tym razem nie sam. Wtedy zrozumiałem, że jeszcze nie czas.

Jak obiecał, przedstawił mnie pewnemu człowiekowi, który miał ponoć ujrzeć świat bogów i bardzo często w nim przebywać. Faktycznie, był jakiś dziwny, ale

może to z powodu przedawkowania opium. Opowiedział mi, jak trafił do domeny Belladon: miejsca, gdzie ludzie prawi walczą ze złem. Nie było ono jednak piękne. Cała domena była oblana szkarłatnymi barwami oraz odmianami zieleni i beżu. Wszędzie leżały drewniane włócznie używane przez ludzi oraz umba tarcz, których mieli rzekomo używać giganci, również tę domenę zamieszkujący. Niekiedy takie umba nosili również ludzie, zapewne po to, by uchronić się przed ciosami. Walczono również kuszami samopowtarzalnymi. Jednak tym, co go najbardziej przeraziło, był widok ludzkich ciał gdzieś pod wodą, które wciąż wiły się z bólu, gdy otrzymały cios z bełtu, chociaż dziwne, że nigdzie nie widział tego pocisku. Wszędzie błoto, krew i krzyki ludzkie. Zdecydował się uciec z tej domeny, wiedząc już, że Belladon nie jest dobrym bogiem, a sługą zła. Gdzie indziej żyli zwyczajni ludzie, tacy jak tutaj. Chyba była to po prostu domena Eo. Jednak nie wstydziła się siebie i mieszkali w przezroczystych domach, gdzie każdy mógł zobaczyć każdego. Jednak mieszkańcy ci byli dość dziwni, gdyż nic do siebie nie mówili, jakby gdzieś się spieszyli. Opowiadający przeraził się rzekomo, gdy ujrzał, że grupa ludzi weszła do paszczy czerwonego bazyliuszka, która rozwarła się, jakby potwór chciał swojej ofiary. A potem bazyliuszek odszedł jak gdyby nigdy nic. Mój rozmówca musiał i stamtąd uciekać ze śmiesznego powodu: chciał po prostu ulżyć sobie i zdefekować pod jednym z

drzew. Ale nagle coś zawyło i zdecydował się szybko uciekać, widząc za sobą jeszcze dwa czarno-żółte cienie, które mogły być strażnikami tej domeny. Na szczęście wrócił do szarego świata. Powiedział mi, że człowiek nie powinien przesadzać z zagładaniem do świata bogów, bo są oni surowi i od razu rozpoznają, kto nie należy do ich świata. Skończywszy opowieść, odszedł. A ja... zacząłem się zastanawiać, czy jednak nie spróbować mimo wszystko wejść do świata bogów i już z niego nie wrócić. W końcu i tak nie miałem nic do stracenia. Spakowałem się, wziąłem też kilka swoich obrazów, tak na pamiątkę. Pomyślałem, że może komuś się tam spodobać.

Sesje były ciągłe. Dłonią próbowałem formować jakieś kształty z tej ferii barw, które miałem przed sobą. Nic jednak nie przybliżyło mnie do świata bogów przez długi czas. W trakcie dziesiątej sesji usłyszałem jednak cichy szept gdzieś w oddali, który szybko znikł. Nie znałem drogi i nie wiedziałem, w jakim kierunku zmierzać. Błąkałem się pośród bezkształtnej masy kolorów, myśląc o tym szepcie. W końcu gdzieś w oddali ujrzałem drżącą, żółtą bańkę, która zdawała się mnie przyciągać. Znów usłyszałem szepty w bardzo dziwnym języku. Byłem na tyle blisko, by dotknąć ją i przebić, ale coś mnie przed tym powstrzymało.

Szturchanie w szarej rzeczywistości.

Był to mój ojciec, który, martwiąc się przez dłuższy czas – wszak nic nie pisałem i ich w ogóle nie odwiedzałem po pieniądze – zaczął mnie szukać i w końcu

odnalazł. Ojciec ujrzał, że mieszkam jak ostatni biedak i dowiedział się o moim uzależnieniu od opium. Wybuchła kłótnia, podczas której dowiedziałem się, że marnuję życie na palenie jakiegoś ścierwa, że niszczę renomę rodziny, że moje rodzeństwo zakończyło studia. Bła bła bła. Słuchałem go, ale nic nie powiedziałem. Wciąż myślałem o tej żółtej bańce i o tym, jak do niej znów dotrzeć. Po chwili otrzymałem cios w policzek, wymierzony przez mojego własnego ojca. Trwało to zaledwie kilka sekund. Powstałem i wbiłem nóż w serce mojemu płodzicielowi. Dosłownie. Nie interesowało mnie wtedy, że zabiłem człowieka – i to jeszcze tak bliskiego mojemu sercu. Istotniejszy był fakt, że przeszkadzał mi w osiągnięciu świata bogów. Zapomniałem o tym z chwilą, gdy znów zapaliłem maczek.

Tym razem doskonale wiedziałem, gdzie iść. Wiedziałem, gdzie się znajduje żółta bańka i jej ciche szepty. Zmieniła jednak barwę. Zamiast jadowitej żółci ujrzałem teraz kolor indygo. Głosy, które wydobywały się z bańki, nie były jak tamte. Wciąż ich nie rozumiałem, ale o ile tamte szepty zdawały się dość inwazyjne, o tyle te były spokojne i płynne jak ocean. Drżącą dłonią dotknąłem bańki, a ona niczym przekłuty pęcherz wybuchła wprost na mnie, zalewając falą barw, które były w niej uwięzione. Chciałem krzyknąć – nie wiem, czy bardziej z zachwytu, czy z przerażenia – ale moje gardło nie było w stanie nic wykrztusić. Uderzenie barw było znacznie silniejsze

niż poprzednie, do tego stopnia, że moje oczy zaczęły piec, by w końcu zupełnie zalały odměty czerni. Oślepiłem, przynajmniej na jakiś czas. Ale czucie pozostało. Nie wiedziałem, co się działo, ale czułem, że spadam z niewiarygodną prędkością. Po chwili opadłem miękko na jakąś płaszczyznę. Wzrok powoli wracał do stanu, w którym mogłem oglądać zarysy ułożonych przeze mnie widoków. Wtedy spotkałem swojego pierwszego boga.

Stałem na szczycie jakiejś wieży, a nade mną unosiła się przeogromna twarz, która zdawała się uśmiechać do mnie. Padłem przed majestatem, bojąc się, że gdy spojrzę w oczy doskonałej istoty, ta mnie spali. Czekałem na jakiś znak, ale jedynym, co do mnie docierało, były jakieś piski, przytłumione głosy oraz powiewy wiatru. Mimo to wciąż się bałem. W końcu jednak odważyłem się podnieść głowę i zostałem za to ukarany. Wiatr, wcześniej raczej cichy, połączył się w jedno z przeogromnym piskiem, który wdarł się w moje uszy. Miałem wrażenie, że uderzenie przyszło z góry, ale bałem się tam spojrzeć. Ból był nie do zniesienia, aż krzyknąłem z całej siły. Wtedy też poczułem, że coś ciągnie mnie do góry. I znów pojawiła się ta feeria barw. Tym razem sam zamknąłem oczy. A wie siostra, co było najciekawsze? To, co ze sobą spakowałem, wciąż było ze mną. Nic nie zaginęło w czasie mojej wędrówki. Niesamowite, prawda?

Nie było to jedyna domena, którą odwiedziłem. Potem ujrzałem domenę Bella-

dona, jednak obraz, który widziałem, był zupełnie inny niż ten z usłysanej przeze mnie opowieści. Widziałem przed sobą bowiem całą armię aniołów, które zaszlachtowały jakichś złoczyńców w kapełuszach trzymanymi mieczami. Trafiłem również do domeny, w której Eo sądził ludzi – siedzieli i widzieli sceny ze swojego życia, decydując, czy żyli godnie, czy też nie. A w jeszcze innym miejscu stałem pośrodku jakiegoś szlaku, gdzie szarżowały na siebie jakieś diabelskie bestie, głośno rycząc. Żadna jednak nie zderzyła się z inną. Było wiele takich miejsc, jedne przerażające, drugie bardzo piękne. W niektórych bywali nawet ludzie ubrani podobnie od mnie, innym razem zaś odziani byli w boskie szaty. Bywało też tak, że nie widziałem żadnego człowieka, natomiast ujrzałem piekło, w którym mordowały się wzajemnie smoki! Uwierzy siostra, smoki! Nie dość, że bogowie, to jeszcze smoki!

W końcu jednak bogowie dostrzegli moją obecność i zdecydowali się na mnie zemścić.

Prawdopodobnie wysłali mnie do miejsca, w którym czułbym się naprawdę dobrze. Było to pomieszczenie, gdzie wywieszono liczne dzieła boskich istot. Wiedziałem, że byli to bogowie, bo tylko bogowie mogliby malować dokładnie tak samo jak ja! Byłem początkowo zaszczycony, że dostałem zaszczytu docenienia przez bogów. Nagle przede mną pojawił się sam Pryter! Tak, sam bóg piękna! Oczywiście przybrał postać ludzką, bym się nie przeraził, jak tamtego

bóstwa na wieży. Skąd wiedziałem, że to Pryter? Bo opowiedział mi o wszystkich boskich obrazach, które tutaj były, z ogromną dokładnością. Co więcej, pokazałem mu swoje dzieła. Najbardziej, rzecz jasna, zachwycony był *Transcendencją*, bo kto by nie był! Ba, z tego powodu zaprosił mnie do spożycia boskiej ambrozji! Zielona ciecz, która wlewała się wtedy do mojego gardła, ukazała mi pełnię boskiego świata. Te barwy, które widziałem po spożyciu opium, były niczym przy efektach wypicia ambrozji! Ale byłem śmiertelnikiem. Nie dla mnie boskie trunki, toteż bardzo szybko po nich osłabłem. I padłem.

Obudziłem się rano; nie wiedzieć czemu, byłem u siebie w domostwie. Śmierdziało wciąż trupem, ciało musiało leżeć już kilka dni. Ale nie to było dla mnie istotne. Bardziej uderzyło mnie to, że obudziłem się zupełnie bez niczego! Nie miałem swoich bagaży ani też, co najważniejsze, obrazów! Jak siostra może się domyślić, zdenerwowałem się, bo wiedziałem, że był to dowcip bogów. To, co piłem nie było ambrozją, a jakimś dziwnym eliksirem, który miał mnie jeszcze bardziej otumanić. Byłem zły. Chciałem odzyskać swoje obrazy, zwłaszcza *Transcendencję*. Zapaliłem raz jeszcze i ruszyłem w podróż w domenę bogów. Mając doświadczenie w tego typu podróżach, już wiedziałem, jak należy się poruszać. Musiałem odzyskać to, co należało do mnie!

Przeszukałem wiele domen, ale nie mogłem znaleźć śladu moich dzieł. Byłem zmarnowany, ale wciąż mocno zdespe-

rowany, by to zrobić. Każdy krok zwiększał moją złość, a moje myśli skupiały się wokół tego, jak przeciwstawić się boskim bytom. I wie siostra co? Bogowie wysłuchali mnie. Musieli się dowiedzieć, że jakiś śmiertelnik im złorzeczy. Nie mogli znieść bluźniercy. Dlatego się przygotowali. Gdy podróżowałem przez domeny, usłyszałem śmiech w bańce w barwie dojrzałej brzoskwini. Dotknąłem jej, by się tam przenieść. Nagle znalazłem się w jakimś pokoju podobnym do tamtego, w którym spotkałem Prytera. Znowu było tam mnóstwo obrazów, ale również i ludzi ubranych w szaty bogów. Nie zwracali na mnie w ogóle uwagi, a ja nie patrzyłem na nich. Nagle go dostrzegłem. Mój obraz. *Transcendencja*. Wiszący dumnie na jednej ze ścian. Rzuciłem się w tamtą stronę i siłą go zerwałem, po czym zacząłem uciekać. Wtedy rozległy się krzyki i próby powstrzymania mnie. Walczyłem niczym niedźwiedź o swoją własność. Zbiłem jakieś naczynie i zraniłem kawałami szkła kilka boskich gości, jedną kobietę nawet oszpecając na twarzy. Ale nagle... wdarli się boscy strażnicy, o których kiedyś opowiadał mi ten człowiek od akolity. Powalili mnie i uderzyli tak potężną mocą, że aż upuściłem obraz. Straciłem go. Na zawsze. Rozpłynął się gdzieś w ciemności. Tak samo jak ja.

Dalej... nie wiem, co było dalej. Dowiedziałem się, że jestem w domu dla obłąkanych. Mój wzrok wciąż nie funkcjonuje. Najwyraźniej to wynik życia wśród bogów i oderwania się od świata docze-

snego. Ale jeśli miałbym powiedzieć, czy żałuję, to odpowiadam: nie! Jestem pierwszym człowiekiem, który przebywał tyle czasu w ich świecie! Pewnego dnia tam wrócę i jeszcze raz pokażę, że śmiertelnik też jest w stanie się przeciwstawić bogom! Mimo że przegrał! Hm, co to za dziwne uczucie. Jakieś ukłucie. Ach... to opium. Więc jednak umożliwicie mi to sami. Może tu nie będzie tak źle, jak myślałem...

Szarpanina w galerii sztuki! Rannych 5 osób, jedna osoba nie żyje!

Wczorajszego dnia w okolicach godziny 20 doszło do próby kradzieży obrazu Wassilego Kandinskiego pod tytułem „Kompozycja VI”, który właśnie odwiedzał Muzeum Narodowe w Poznaniu. Sprawcą był dwudziestoletni mężczyzna, który wtargnął do muzeum i siłą próbował wykraść obraz. Napastnikowi udało się zabrać dzieło, ale obecni goście próbowali nie dopuścić do tego, by wyszedł z nim z muzeum. Wtedy mężczyzna rozbił dzban i zaczął atakować szkłem odwiedzających. Zranił mocno pięć osób, a trzydziestodwuletniej kobiecie wbił szkło w twarz i rękę, uszkodzając system nerwowy. Zmarła w szpitalu z powodu zbyt dużego upływu krwi. Ochrona muzeum zdołała obezwładnić napastnika i przekazać go w ręce policji. Trwa właśnie dochodzenie i zabezpieczanie mienia sprawcy, zbierane są również zeznania świadków.

Sprawca morderstwa w Muzeum Narodowym w Poznaniu uniewinniony?!

*Dzisiaj poznański sąd orzeknie wyrok w sprawie dwudziestolatka, który dokonał morderstwa na trzydziestodwuletniej Agacie M. w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Wyrok jest już jednak chyba pewny. obrońca mordercy, mecenas Włodzimierz R., mówi: „Mój klient jest osobą niepoczytalną. Cierpi prawdopodobnie na schizofrenię, ma liczne urojeń-
nia, a także jest uzależniony od opiatów. Dlatego może stanowić niebezpieczeństwo dla współwięźniów”.[...] Obecnie więzień przebywa w domu dla psychicznie chorych [...].*

Morderstwo w Muzeum Narodowym w Poznaniu dokonane przez Terminatora?!

Ludzie z przeszłości mogli posiadać umiejętność podróżowania w czasie. Reporter „SuperFaktu” dotarł do wyposażenia Mordercy z Muzeum, które poddano badaniom. Jak się okazało, ich wykonanie nie byłoby możliwe przy obecnych warunkach. „Tego typu szwów i krojów używano w późnym średniowieczu, na przełomie mniej więcej XIV i XV wieku. Obecnie nawet bractwa rycerskie nie są w stanie idealnie odtworzyć stroju człowieka z tamtej epoki. Tutaj mamy do czynienia z oryginałem” – mówi prof. Hanna Koćka-Krenz z Instytutu Archeologii w Poznaniu. Przesłuchani świadkowie mówią również o słowach sprawcy morderstwa, który krzychał, że ten obraz należał do niego i został mu skradziony.

Czyżbyśmy mieli więc do czynienia z podróźnikami w czasie? [...]

POETICA

Patryk Szymczak – Jedność

W leśnym dworze biesiadują dostojnicy
Popijając trunki z italijskiej winnicy
Psy krzątają się przy ichnich nogach
Przez usługne wyjadanie resztek od panów
czysta jest podłoga
Dwór ów zamknięty jest na spusty cztery
Co mi bezsensowne dla nich nie bez kozery
Nie chcą nikczemnicy by gołębie głodne
Uszczknęły choć okrucz tego w co ich
stoły rodne
W królewskie atrybuty ubrali swe głowy
Głupcy z hedery uczynili korony
Nadmiar jedzenia wpychali do gardła
I pewnie z przejedzenia hołota by pomarła
Gdyby nie pewna cecha ludzkiej anatomii
Zwrócisz co za dużo i wstajesz na nogi
Miał jednak obżarstwu rzecz wreszcie
„basta!”

Hnetki za żarło złapała hałastrą
Wolą smak rzygowin czuć by mieć
wszystko dla siebie
Nie bacząc na te za oknem głodne gołę-
bie
Jelenie czy psy zające czy szczury
Wolny czy w mentalnych kratkach – czyj
los bardziej ponury?
Izali nie wystarczy podzielić się chlebem?
Wszak wszyscy żyjemy pod tym samym
niebem
Jeden czyn wystarczy byśmy radością
iskrzyli
A człowiek z ptakiem się nareszcie pogod-
dzili

Patryk Szymczak – Lub

Ogromne lub małe istniało królestwo
Którym władał dobry lub zły król
Wszelką personę garnęły doń drogi
Lub granice jego pokrywał mur
Na żyznych glebach rosły zboża i sady
Lub na kamieniach ślizgał się wiatr
Ludzie jak ptaki wolnością żyli
Lub nie widzieli nic prócz turmy krat
Mlekiem i miodem płynęły tam rzeki
Raj na ziemi porównany do Nieba
Lub pająki zalęgły w spichlerzach
Taka tam była nędza i bieda
Pokojem i miłością byli wypełnieni
Lub ukochali wywoływać burdę
Boga Jedynego sercem wielbili
Lub traktowali Go jak byle furdę

A władca wybrany jest elekcyjnie
Dzięki głosowaniu w purpurę przywdzie-
wa strój

Lecz z rządami ludu niewiele ma to
wspólnego
Bo jedyny wybór, to wybór Twój